



SON

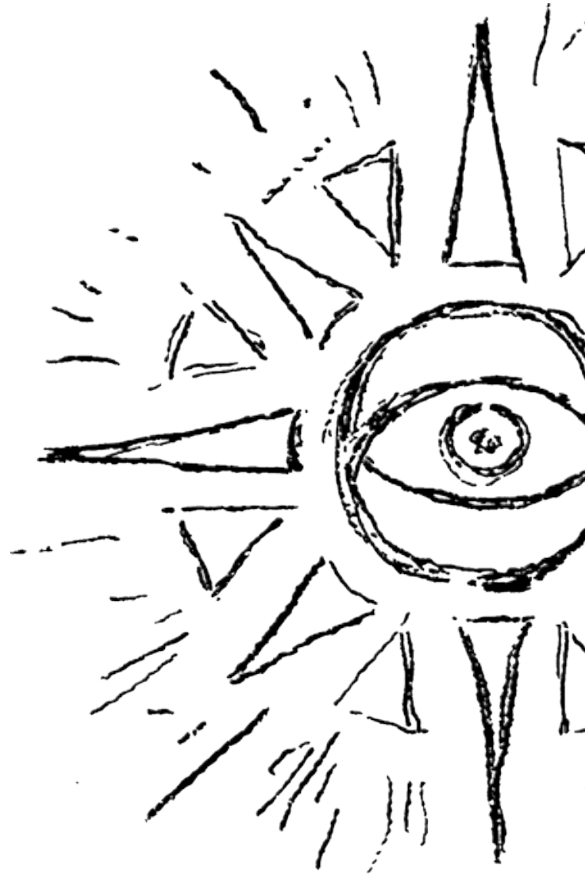
WYDANIE 01
CENA 204,90 PLN

HORYZONT

JAKUB MAŁECKI

HORYZONT

HORYZONT



HORYZONT

JAKUB MAŁECKI



KRAKÓW 2019



Horyzont

Copyright © by Jakub Małecki 2019

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2019

Redakcja – Joanna Mika

Korekta – Piotr Królak, Magdalena Świerczek-Gryboś

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Obraz na okładce – Roch Urbaniak

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

SQN
WYDAWNICTWO
1992-2019

Wydanie I, Kraków 2019

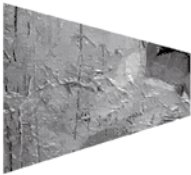
ISBN: 9788381295437

Dla studentki z Kijowa i eleganckiego motocyklisty.

Wystarczy jedno „nic”, by uderzył piorun.

Herman Hesse, *Wilk stepony*
tłum. Gabriela Mycielska

1



To ja.

Łysy i spocony już trochę, buty brudne na białym dywaniku, obok buta lewego radiowóz, w dłoni komiks, klocki wszędzie, przede mną na półce dwa czołgi, amerykańskie, jakiś roboto-dinozaur, żołnierzyków mnóstwo i gra planszowa – tytułu nie widzę. Pot mi splywa do oka.

Na ścianie plakat z filmu, którego nie znam, rysunek faceta w helmie, i jeszcze jeden – na nim chyba dom? Szkoła? Obok duże zdjęcie wyszczerzonego kretyna z fińską snajperką sako. Moje zdjęcie.

Milena wprowadziła mnie tu kilka minut wcześniej. Zerkała co chwilę z niepewnym uśmiechem, oczekując chyba, że się tym wszystkim ucieszę. Tymi żołnierzkami. Rysunkiem. Sobą na fotografii.

Ocieram czoło. Wstaję, komiks rzucam na łóżko, zsuwa się i uderza w radiowóz. Opieram ręce na biodrach – kiedyś tam w ogóle tłuszczu nie miałem, teraz trochę mam – i próbuję sobie przypomnieć, jak to się właściwie stało, że jestem w tej chwili tutaj, w tym dziecięcym pokoju, z brudnymi butami na białym dywanie. Dawny ja ze zdjęcia patrzy na mnie.

Przyszedłem bez zapowiedzi, tylko tak umiem tutaj przychodzić. To znaczy – nie umiem w ogóle. Milena otworzyła mi drzwi i chyba zadowolona.

– Proszę, wejść... Jak miło.

Wszedłem i od razu zacząłem się pocić, od razu żalować zacząłem, wszystko bez sensu, wyglupię się tylko, już to zrobiłem. Zapytała, czy kawy, czy herbaty, ona tylko wyłączy żelazko, bo prasowała akurat. I widząc moją minę:

– No przecież nie przeszkadzasz, Maniek. Tylko żelazko wyłączę.

Usiadłem z nią w przestronnym salonie, wokół leżały drobne kawałki zwykłego życia: żółta piłka, gazeta o modzie, gumowa kość psa Kretesa, dwa błyszczące roboty, kawałek chrupka i opakowanie kreskówki ze smokiem na okładce.

Moja siostra przygotowała kawę, przez cały czas mówiąc coś do mnie, potem usiadła w fotelu naprzeciwko, nie przerywając. Miała na sobie wytarte dżinsy i bluzkę z nadrukiem przedstawiającym uśmiechniętego wieloryba. Patrzyła na mnie tymi wielkimi oczyma, w których topiła się kiedyś większość moich kolegów z liceum. Włosy ułożone w taki sposób, że przypominały zapalną zaraz po potarciu o draszkę.

– Dawid jest na placu zabaw – powiedziała. – Poszłabym po niego, on się po prostu posika z radości.

Czułem, jak kropla potu zjeżdża mi wzdłuż kręgosłupa i wsiąka w koszulkę. Podniosłem kubek do ust, upiłem łyk. Spojrzałem w lewo, w prawo: książki na wysokim regale, rozpuszczony w słońcu widok za oknem. Kawałek trawnika, trampolina dla Dawida, świeżo posadzone tuje przy drewnianym ogrodzeniu. Jeden z identycznych szeregowców przy jednej z identycznych ulic na Wawrze.

Milena podniosła się, ręce oparła na udach i zbliżyła twarz do mojej.

– Dosłownie za chwilę będziemy, okej?

Pokiwałem głową. Siostra dotknęła mojego ramienia, cofnęła palce.

– To może poczekaś u niego?

No i czekam tak, spocony już bardziej niż trochę, zdenerwowany jeszcze bardziej niż spocony.

Pokój jak marzenie każdego dzieciaka, a przynajmniej marzenie każdego dzieciaka z moich czasów: duży, wszędzie pełno wszystkiego – figurek, gier planszowych, puzzli i samochodów, broni z plastiku, elektronicznych gadżetów.

Chodzę od białych drzwi do białego biurka, na którym pudełko puzzli, kartka z gryzmołami i kubek pełen pisaków. Przyśtają na środku, znowu patrzę na ścianę, a facet ze zdjęcia patrzy na mnie. Kto mi w ogóle robił tę fotkę? Pytlak? Miętowy?

Wyobrażam sobie, jak ją wieszali – siedmioletni, niecierpliw kierownik prac i posłuszny wykonawca z rolką taśmy klejącej. Jego ojciec, mój szwagier Hubert, programista z ramionami w kolorowych tatużach. Zastanawiam się, co myślał, umieszczając tu na prośbę syna mój wielki wizerunek. Odwracam głowę, głęboko oddycham.

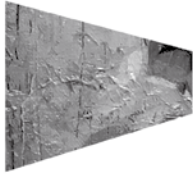
Nie, jednak nie wytrzymam.

Idę raz jeszcze do biurka, raz jeszcze do drzwi. Wyjdę, ucieknę, przeproszę ją jakoś przez telefon, zrozumie. Nie zrozumie. Kładę rękę na klamce i słyszę ich głosy. Przeklinam szeptem.

Głosy już wyraźne – spokojny jej, jego cienki, podniecony. Pocieram klatkę piersiową. Ścisła mnie w mostku, mam ciemno przed oczami. Mam ciemno przed oczami, ja, Mariusz Małecki, lat trzydzieści sześć, kawaler, cholesterol w normie, dwa zdjęcia

z prezydentem i emerytura wojskowa, jestem już przy biurku,
biorę głęboki wdech, waham się jeszcze przez chwilę, w końcu
stawiam nogę na parapecie i skaczę przez okno.

2



Biegnę po trawniku – piłka, łopatki, trampolina, mijam wszystko, prosząc w myślach, żeby mnie takiego nie zobaczyli. Dopadam płotu, jest wyższy, niż myślałem, podciągam się, w lokciu znowu strzyka. Przekładam jedną nogę, zaraz będzie po wszystkim, i zawieszony tak pomiędzy ogrodem a ulicą, pomiędzy jeszcze nie a już tak, odwracam się i próbuję sam siebie przekonać, że te dwa kształty w oknie to wcale nie twarze Mileny i jej syna, że to tylko dwa kształty w oknie. Odwracam się, przerzucam drugą nogę i już.

Upadam za ogrodzeniem, prostuję się i idę, tak spokojnie, jak spokojnie może iść dorosły mężczyzna, który właśnie wyskoczył przez okno i przelazł przez płot.

Nasłuchuję, czy za mną nie krzyczą, chyba nie, pokonuję dziesięć, dwadzieścia metrów, ale kiedy zbliżam się do placu zabaw, gdzie jeszcze przed chwilą najwyraźniej bawił się Dawid, a teraz bawią się już tylko obce dzieci, z kieszeni dobiega melodia z *Nieustraszonego*. Wyciągam, patrzę – Milena, odrzucam, telefon chowam z powrotem.

Drugi raz już nie dzwoni.

* * *

Siedzę w rozgrzanym aucie, za szybami rozgrzana Warszawa: krótkie rękawy, sukienki, ciemne okulary, kolejka przed lodziarnią i pełne głów tramwaje. Mam sporo rzeczy do załatwienia – najpierw sklep. Parkuję przy wiacie z wózkami i wychodzę w ciepło.

Jestem tu regularnie, choć nigdy nie kupuję nic dla siebie, teraz tak samo: wrzucam do koszyka brokuły, ryż basmati i cztery piersi z kurczaka, do tego losoś, niech mu będzie, dwa lososie, migdały, owsiankę, kiść bananów, chyba już wszystko.

Przystaję przed działem z mrożonkami, bo znowu telefon. Wyjmuję – Hubert. Kurwa. Wypowiadam tę myśl na głos, co mi się niestety coraz częściej zdarza.

Odbieram.

– Cześć, szwagier.

– Cześć, szwagier.

Cisza, nic nie mówię, czekam, aż on coś powie, wreszcie mówi:

– Chcesz pogadać?

Nie chcę. Wzdycham głośno i milczę.

– Nie chcesz.

Wzdycham raz jeszcze.

– Nie chcę.

Teraz wzdycha szwagier. Znowu cisza.

– Ale gdybyś chciał...

– Wiem. Dzięki.

Stoję przy mrożonkach, zimno mi i się pocę. Jedna sekunda, druga sekunda, trzecia, wreszcie on:

– No to trzymaj się.

Kiwam głową.

– Na razie.

Wsuwam telefon do kieszeni, idę w stronę kas. Czekając w kolejce, przyglądam się mężczyźnie przede mną, który może celowo, a może nie celowo, nie położył za swoimi zakupami tego plastikowego czegoś z napisem NASTĘPNY KLIENT. Przenoszę wzrok na dwie nastolatki, całkowicie ignorujące wszystko, co nie jest ekranami ich telefonów – w tym mnie – a potem na kasjerkę, która mówiąc mi „dzień dobry” i chwytając ryż, łososia, migdały, nie podnosi głowy. Ja, Maniek Małecki, dla nich nie istnieję.

Wsiadając w 2011 roku we Wrocławiu na pokład wyczerpanego boeinga amerykańskich linii lotniczych, byłem przekonany, że jeśli przetrwam sześć miesięcy, stanę się kimś, kogo nie sposób przeoczyć. Że wszyscy będą widzieć we mnie to, co zrobiłem, i to, czego nie zrobiłem. Że po takich sześciu miesiącach nic już nie zdoła mnie ruszyć.

Jest odwrotnie i rusza mnie wszystko. Nie ma znaczenia, co w życiu zrobiłem i czego nie zrobiłem – kiedy stoisz w kolejce do kasy za ospałym mężczyzną i dwoma nastolatkami, kształt twojej przeszłości się rozmywa.

I w innych sytuacjach też.

* * *

Czterocyfrowy kod, klatka schodowa, w windzie lustro. Próbuje nie patrzeć. Fryzjer – powinienem to sobie zapisać. Jestem przed drzwiami, nasłuchuję i naciskam dzwonek. Ociężałe kroki, chrzęst zamka, Miętowy.

Stoi przede mną, znudzony wybryk natury: dwa metry wzrostu, ramiona takie, że nie widać właściwie, gdzie jeden mięsień się kończy, a inny zaczyna.

– Zabił mnie właśnie wilkołak – oświadcza, odwracając się do mnie plecami, a potem wchodzi do swojego miniaturowego, jedyne go pokoju i opada na fotel. W potężnych dłoniach tkwi biały pad od konsoli.

Jeden krok i jestem w kuchni, z której przechodzi się bezpośrednio do toalety, gdzie ja mam problem się obrócić, a co dopiero Miętowy.

– Ten wilkołak cię zabija od dwóch tygodni – mówię, wkładając kolejne rzeczy do szafek i lodówki.

Miętowy nie odpowiada, odpowiadają tylko odgłosy ze świata, który nie istnieje: brzęk stali, warkot, kłapanie zębami. Miętowy wdusza przyciski tak gwałtownie, że słyszę to aż tutaj.

Układam banany w brązowej misce obok mikrofalówki i przesypuję migdały do słoika – wtedy dostaję wiadomość. Milena.

„Gdybyś jednak chciał przyjść, to jesteśmy w domu”.

Nie odpisuję, dalej wykładam sprawunki, słuchając triumfalnego, zwierzęcego ryku zza ściany – wilkołak właśnie zabił Miętowego po raz kolejny.

Siedzimy potem obok siebie, nie rozmawiamy, bo o czym mamy rozmawiać. Ja zajadam migdały, on skacze swoją postacią wokół wilkołaka, próbując uniknąć ciosów i dojść do jakiejś świątyni.

Miętowy całymi dniami gra na konsoli, choć wydaje mi się, że granie nie tak chyba powinno wyglądać. Na wielkim ekranie – oprócz niego samego to jedyna wielka rzecz w tym mieszkaniu – jest pozerany, rozrywany, bity, dziurawiony kulami, zrzucany w przepaście i rozjeżdżany przez auta. Mam wrażenie, że po każdej śmierci staje się coraz bardziej zacięty, że z jeszcze większym zapalem rozpoczyna tę samą misję.

Parę lat temu miał pracę, mniej więcej stałą. Potem próbował jeździć na Uberze, czasami przyprowadzałem go na bramki w ramach jakiegoś zastępstwa. W końcu przestał udawać, że mu na czymkolwiek zależy, usiadł w tym fotelu i tak siedzi. Na domiar złego Zuza, która pracuje przy grach, podarowała mi kiedyś konsolę, a ja, nie wiedząc, co z tym urządzeniem zrobić, podarowałem ją jemu. Od tamtej pory prawie nie odrywa się od ekranu.

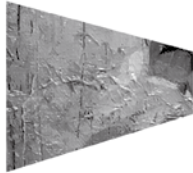
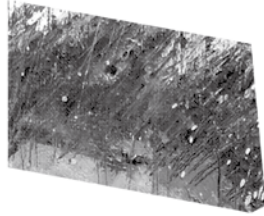
Utrzymuje go brat, który od paru lat prowadzi hotel w Kolobrzegu. Poznaliśmy się: mili i w porządku, ale nawet ludzie, którzy są mili i w porządku, kiedyś tracą przecież cierpliwość.

Odkładam migdały, nogi wyciągam na krzesło. Patrzę, jak mój przyjaciel skrada się za drzewem, obserwując wroga złożonego z małych pikseli.

W grach komputerowych Miętowy ginie tak często, ponieważ robi wszystko, żeby zabić jak najmniej przeciwników. Niedawno chwalił mi się, że przeszedł *Dishonored 2*, nie krzywdząc nikogo. Poza ekranem, w prawdziwym życiu, zabił łącznie sześć osób.

Ja zabiłem cztery.

3



Boisz się alarmów samochodowych. Boisz się tego, że boisz się alarmów samochodowych. Ciągłe się rozglądasz, czegoś wypatrując. Nie dajesz rady w supermarketach. W zatłoczonym autobusie. W kolejkach. Wszyscy mężczyźni, których mijasz na ulicy, krzywo na ciebie patrzą.

Jesteś zmęczony, ale nie możesz zasnąć. Wygniatasz pościel, co kilka minut sprawdzając godzinę na komórce. Wydaje ci się, że sąsiad bije żonę. Wydaje ci się, że wszyscy sąsiedzi biją swoje żony. Powinieneś coś z tym zrobić. Czy oni w ogóle wiedzą? Nie wiedzą. Spodziewałeś się, że po powrocie będziesz kimś, może nawet bohaterem, a jeśli nie, to chociaż właśnie kimś, ale wyszło zupełnie inaczej.

Nikt cię nie rozumie. Nie rozumieją ci, którzy wcześniej rozumieci. Ojciec. Siostra. Najlepszy przyjaciel z dzieciństwa. Uświadamiasz sobie, że jesteś innym gatunkiem człowieka niż wszyscy wokół ciebie.

Twoim językiem posługują się tylko ci, z którymi byłeś tam. Raz w roku chodzisz z nimi na piwo i wtedy, ten jeden raz w roku, czujesz się normalnie, na swoim miejscu, ale szybko się upijacie, to uczucie mija i wkrótce jest po wszystkim. Podczas honorowej sprzeczki o to, kto płaci za alkohol, widzisz, że jeden z kumpli

zakleił w dowodzie osobistym swoje zdjęcie. Zastanawiasz się, czy on też czasami, tak samo jak ty, musi się golić na wycucie, patrząc w umywalkę. Pamiętasz, jak jeszcze na pustyni wasz kierowca przybił prawo jazdy nożem do tablicy rozdzielczej w taki sposób, żeby ostrze przechodziło przez środek twarzy. Wydawało ci się to wtedy trochę głupie, trochę straszne. Rano wymieniacie kilka wiadomości o tym, jak to było ostro i kto co zgubił, kto rzygał. Żaden z was nie proponuje, by spotykać się częściej.

* * *

Podobno twoim jedynym problemem jest to, że nie masz już żadnych problemów.

Cieknący kran, awantura w święta, płacząca mama i dziesięć kilogramów przybranych w miesiąc, do tego przeziębienie i trzy niezapłacone raty kredytu za samochód – to wszystko nie są problemy. Problem jest wtedy, gdy do ciebie strzelają. Nic więc nie robisz z ciekącym kranem, w święta urządzasz awanturę, tyjesz i przestajesz spłacać kredyt.

Ludzie zaczynają cię wkurwiać. Te wszystkie zapatrzone w siebie głąby, które o niczym nie mają pojęcia. Nie możesz pogodzić się z myślą, że na ulicy taki głąb wygląda właściwie tak samo jak twoi koledzy z misji – że nie sposób tego z zewnątrz jakoś rozróżnić.

Po pewnym czasie dochodzisz do wniosku: jedyną sensowną – jedyną możliwą – opcją jest powrót na wojnę. Tam znowu udowodnisz, ile jesteś wart, tam wszyscy będą cię rozumieć. Masz przed sobą dwie drogi. Wracasz, a potem znowu, a im częściej to robisz, tym silniejsza jest potrzeba kolejnego powrotu, wreszcie dowódca po przyjacielsku mówi ci, żebyś dał sobie spokój, że zaczynasz świrować. Druga możliwość to nie wracać

w ogóle, tak jak ja, ale wtedy tak samo świrujesz. Ta historia prawie nigdy nie ma dobrego zakończenia, choć są tacy, którzy wierzą, że o dobre zakończenie mimo wszystko warto walczyć, bo wcześniej też o wszystko walczyli.

Robisz się coraz starszy, ale walka nie staje się łatwiejsza – czasem masz takie wrażenie, ale potem okazuje się, że to tylko wrażenie. Bijesz się w barze z ludźmi, którzy wcale nie chcieli się bić. Pijesz albo bierzesz leki.

W końcu uświadamiasz sobie główny powód, dla którego nie popełniasz samobójstwa: twoim rodzicom, twojej siostrze i kumpłowi byłoby później bardzo przykro. Żyjesz dalej.

* * *

W korku na Niepodległości, uwięziony pomiędzy głośnym techno z porsche i jeszcze głośniejszym disco polo z jeepa, pomiędzy chodnikiem pełnym najwyraźniej spóźnionych gdzieś ludzi i autobusem pełnym ludzi smutnych, decyduję się, wbrew wcześniejszym postanowieniom, napisać do Zuzy.

„Powiedz, że miałaś dzisiaj WYJĄTKOWO kiepski dzień”.

Zuza odpisuje po dwóch i pół metra.

„6/10. Ale nie odmówię, ponieważ jestem miła”.

Czterdzieści pięć minut zmarnowanego dnia później parkuję pod ziemią, na miejscu z wielkim żółtym numerem 26. Ostatnio wszystko w moim życiu ma numer albo opatrzone jest hasłem, albo jedno i drugie. Na zewnątrz słońce chowa się za wieżowcami Mordoru, co nie znaczy, że idąc do sklepu, się nie pocę – pocę się jak wieprz.

Ze względów strategicznych unikam kupowania alkoholu w najbliższej Żabce, ale tym razem sytuacja jest wyjątkowa, bo wyjątkowo nie chce mi się chodzić dalej, więc dwa razy

żołądkowa, raz grant's zero siedem, na wszelki wypadek albo na później, do tego chipsy, cebulowe dla niej i solone dla mnie. Po cebulowych na osiemdziesiąt procent będę miał zgage.

Blok, w którym mieszkam, wygląda, jakby zbudowano go dla ludzi młodszych ode mnie, wszystko tu jest kolorowe, modne, minimalistyczne i funkcjonalne – ja nie jestem ani modny, ani funkcjonalny, mam trzydzieści sześć lat, problemy ze snem i zespół stresu pourazowego, choć w papierach napisali mi, że nie.

Na klatce pachnie sukcesem. Egzotyczna roślina podlewana przez wytatuowane małżeństwo spod trzydziestki, dwa rowery w stylu vintage przypięte do barierki mimo zakazu umieszczonego obok przedawnionych życzeń na święta. Same życzenia na święta minimalistyczne, ironiczne, w rogu bateria do elektrycznej hulajnogi.

Wchodzę do części wspólnej, potem do mieszkania, choć mieszkanie to jednak zbyt dużo powiedziane. Mam tu dwadzieścia metrów kwadratowych, dokładnie dziewiętnaście przecinek sześć, na których jakiś czarodziej architektury wewnątrz zmieścił pokój, aneks kuchenny, łazienkę i coś, co czasami zdarza mi się nazwać przedpokojem. Właściwie kupił stumetrowe mieszkanie, a potem podzielił je na cztery mniejsze i wynajął, każde za „tysiąc dziewięćset, w tym prąd, gaz i internet”. Interes dobry, pomysł świetny, tylko mieszkać chujowo.

Najpierw szukam Wemka. Nie trzymam go w żadnym terrarium – uważam, że dla dostojnego żółwia z Afganistanu te dwadzieścia metrów to i tak ciasnota – dlatego czasami trudno go znaleźć wśród szpargałów, które trzymam na podłodze. Chodzę i wypatruję.

– Wemek, brzydalu, pokaż no się, wróciłem. Chcesz liści?

Znajduję go w łazience. Siedzi sobie pod umywalką, panisko.

– Przyniosłem ci liście. Pyszne liście, mmm, czujesz, jak pachną? No zeżryj sobie, masz liścia.

Zajada tak, że gdyby miał uszy, toby mu się trzęsły. Buty wrzucam do szafki, wódkę do lodówki. Zamrażarki nie mam. Pralki tylko jedną czwartą – w korytarzu stoi wspólna dla naszych połączonych mieszkań. To właśnie przy pralce poznałem Zużę – pamiętam, że tamtego dnia ona przyniosła ciemne, a ja wszystko jak leci: bieliznę, dżinsy, koszulki w różnych kolorach.

– Mariusz – przedstawiłem się, upuszczając stertę odzieży na podłogę.

– A, to ty. – Uścisnęła mi rękę. – Zuza.

Była obraźliwie ładna. Patrząc na nią, trudno było nie myśleć o tych wszystkich kalekach, upośledzonych i dotkniętych chorobami ludziach, którzy przedzierali się przez kolejne dni, podczas gdy ktoś taki jak ona był zdrowy i jeszcze wyglądał tak. Wściekle czarne włosy, oczy wściekle wielkie. Twarz jak z reklamy. Duże piersi. Szczupła. Miałem nadzieję, że nosi chociaż aparat na zębach albo że przynajmniej jest głupia.

Zanim zdążyłem coś powiedzieć, odezwała się głosem, który pasowałby do kogoś znacznie starszego niż ona:

– Słuchaj, muszę ci zadać bardzo osobiste pytanie.

Przyjrzałem się jej.

– Ależ proszę.

Wzięła głęboki oddech.

– Czy ty słuchasz bułgarskiego rapu?

Po jakichś czterech sekundach:

– Rzeczywiście, bardzo osobiste.

Pokiwała głową. Schyliła się, zanurzyła ręce w kopcu dowodzącym mojej modowej ignorancji, i wygrzebała z niego białą bluzę, którą następnie dorzuciła do pralki razem ze swoimi ciuchami.

– Tak, słucham bułgarskiego rapu – odpowiedziałem do jej szczyptych pleców przedzielonych konturem kręgosłupa.

Wyprostowała się, wsunęła czubki palców do kieszeni krótkich dżinsowych spodni. Na bluzce miała nadruk przedstawiający okładkę jakiejś książki fantasy. Gdybym jako czternastolatek wymyślił sobie ideał, z którym spełniałbym obezwładniające mnie wtedy nocami fantazje, wymyśliłbym właśnie ją, ale teraz ten jej perfekcyjny wygląd sprawiał, że wydawała mi się nieludzka i całkiem aseksualna.

– To długa historia – dodałem, opierając się o ścianę.

– Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że ja też słucham bułgarskiego rapu. Ostatnio głównie Keranova i Qvkaty, których, jeśli dobrze słyszę zza ściany, a wiemy, że tu słyhać wszystko, w sensie WSZYSTKO, to znaczy ostatnio słyszałam, jak wstając z łóżka, ten chłopak tutaj, wiesz, kojarzysz go, ten hipster – wskazała za siebie – westchnął sobie rano, tak wiesz, jak to się rano czasem wzdycha, i ja nawet TO usłyszałam, no więc jeśli dobrze kojarzę, to ty też słuchasz Keranova, i chyba jeszcze Dim4ou?

Kiwnąłem głową. Słuchałem Keranova. Słuchałem Dim4ou.

– No więc właśnie. Mieszkamy w półtoramilionowym mieście, gdzie bułgarskiego rapu słucha pewnie łącznie pięć osób, a może cztery, a najprawdopodobniej to jednak dwie. Więc nie dziw się, że się trochę martwię. Takie rzeczy zazwyczaj nie prowadzą do niczego dobrego.

Przyszło mi do głowy, żeby zastosować ćwiczenie oddechowe z liczeniem od jeden do czterech, bo miałem wrażenie, że trochę jednak nie rozumiem. Milczałem przez chwilę, a kiedy się wreszcie odezwałem, wyszło mi:

– Ja z kolei słyszałem, że kiedyś w Oklahomie jeden rolnik dwa razy z rzędu wygrał w zdrapcie ze spożywczego milion dolarów. Różne rzeczy się zdarzają.

– Ja na razie jakieś dwadzieścia razy z rzędu nie wygrałam miliona dolarów – westchnęła. – Czekaj.

Podeszła do swoich drzwi, odwróciła się jeszcze.

– Lubisz piwo? Wyglądasz, jakbyś lubił.

Spróbowałem zbyt szczegółowo tego nie analizować.

– Dziękuję. Tak, piwo może być.

Przyniosła wtedy dwa harnasie ze swojej namiastki mieszkania, usiedliśmy – ja na podłodze, ona na pralce – i zapytała, skąd ten bułgarski rap. Zaraz też dodała, że ponieważ pranie nastawione jest na godzinę czterdzieści cztery, a wczoraj obejrzała ostatni odcinek ostatniego sezonu *Peaky Blinders*, to akurat wyjątkowo nie ma nic przeciwko długim historiom.

– Tylko to jest historia taka, że potrzebowalbym jeszcze co najmniej siedmiu piw – wyjaśniłem. – Więc może najpierw ty.

Wywróciła oczami, jakby właśnie czegoś takiego się spodziewała.

– No u mnie to bardzo normalnie: zrobiłam kiedyś domówkę i przyszło za dużo osób ze skłonnościami do nadużywania YouTube’a, no i wiesz, jak to jest. Każdy się zapuszczał w jakieś podejrzone odmęty internetu, więc potem, jak mi aplikacja podsuwała utwory, to zasugerowała ten bułgarski rap. Miłość od pierwszego odsłuchu. No, ale na tym się nasza rozmowa urywa, bo nie mam dla ciebie kolejnych siedmiu piw.

Tamtego dnia rozmowa jednak się nie urwała, siedzieliśmy tak jeszcze godzinę czterdzieści cztery, a potem poszliśmy do niej, gdzie się czulem tak samo jak u siebie, tylko w lustrze. Rozmawialiśmy o bułgarskim rapie, o toaletach w firmie, gdzie

pracowała, o toaletach w dyskotecie, gdzie ja kiedyś pracowałem, o skarpetach hipstera z mieszkania po prawej, o skarpetach innych hipsterów, o kolczykach w pępku – pokazała mi swój – o tatuażach – pokazałem dwa z trzech – o Cillianie Murphym z *Peaky Blinders* – stwierdziłem, że taki sobie, na co prychnęła – a potem jeszcze o moim strzykającym łokciu, o jej skoliozie, o *Harrym Potterze* – przyznałem, że lubię – o kryminalach – przyznałem, że nie lubię – i w końcu o tym, że ja mam trzydzieści sześć lat, a ona dwadzieścia cztery.

* * *

Dzisiaj Zuza wchodzi bez pukania, to znaczy puka, a potem od razu wchodzi, i wita mnie słowami:

– No i co?

Nie mówię nic, sięgam do lodówki po wódkę, do szafki po szklanki, chipsy wyjmuję z torby, siadam wreszcie i wydycham powietrze, które, wydaje się, tkwiło we mnie od dawna.

– Nie dałem rady – oznajmiam, rozrywając lay’sy o smaku zielonej cebulki.

Zuza kiwa głową.

– Przytulić cię?

– Chyba nie.

Siedzimy, ona gryzie chipsa, ja nie gryzę, nie robię nic, nawet wódki nie nalewam, nalewa ostatecznie ona. Wypijam pół i zaraz drugie pół.

– Wskoczyłem przez okno.

Wciąga powietrze z sykiem. Nie komentuje.

– Nie było go. Milena wyszła, żeby go przyprowadzić z placu zabaw. Czekalem w jego pokoju.

Zuza je chipsy i nie patrzy na mnie, patrzy na czarny ekran telewizora naprzeciw i na szafki aneksu kuchennego, za co jestem jej wdzięczny.

– I jak usłyszałem, że wracają, to... Nie wiem. Zanim się zdażyłem zorientować, byłem już na zewnątrz. Widzieli mnie, jak przechodziłem przez plot.

– Przechodziłeś przez plot.

Kiwam głową.

– Przechodziłem przez plot.

Nalewam gorzkiej żołądkowej do szklanek, choć Zuza jeszcze swojej nie opróżniła. Pijemy, ona zagryza, ja nie zagryzam, i czuję, jak w środku robi mi się ciepło, co nie znaczy, że dobrze.

Dopóki siostra i szwagier mieszkali w Kopenhadze, a nasze światy pozostawały wygodnie rozłączne, pozwalałem sobie na przekonanie, że Dawid zawsze będzie tylko różowawą, czasem cichą, a czasem głośną zawartością kolejnych kolorowych kokcyków i ubranek. Milenę skutecznie zajmowały wszystkie te sprawy, które zajmują ludzi pragnących dojść do czegoś w życiu. Rozmawialiśmy na Skypie, czasem prosiła, żebym wysłał jej jakieś zdjęcie. Wysyłałem. A potem, pół roku temu, wrócili, przywożąc ze sobą – zamiast dziecka z filmików i zdjęć, które kasowałem zaraz po otrzymaniu – gotowego, myślącego i mówiącego człowieka.

– Następnym razem będzie lepiej – mówi Zuza.

Ma jakiś paproch we włosach i przyglądam mu się, wyobrażając sobie, jak ostrożnie zdejmuję go dwoma palcami.

– Tego nie wiemy.

– Nie.

Podnoszę się i wyjmuję z torby solone, otwieram i zjadam na stojąco cztery, pięć, sześć...

- A wiesz, co jest za dwa miesiące? – pytam z pełnymi ustami.
- Co?
- Urodziny ma.
- Ona?
- Nie, on.
- Mmm. Myślisz, że cię zaproszą?
- Oczywiście, że mnie zaproszą.
- Nawet po tym, jak przechodziłeś przez plot?

Siadam z powrotem, w połowie robi to za mnie siła ciężkości, a w kanapie coś zgrzyta.

- Przestań. Ja jestem jego ojcem chrzestnym.

Brzmi to chyba dość poważnie, bo oboje nie odzywamy się przez chwilę, słychać tylko chrzęst pustych węglowodanów. Potem Zuza zapewnia mnie, że coś wymyślimy, spokojnie, znajdziemy jakiś doskonale pasujący i uroczo spersonalizowany prezent, dzięki czemu będę się czuł pewniej, dzięki czemu w ogóle zdołam tam dotrzeć i wytrzymać.

Zmęczony trochę tym wszystkim, roztopiony wódką, chciałbym już zmienić temat, pytam więc Zużę, co u niej.

Stwierdza, że nic nowego. Na obiad zjadła ciastko i red bulla, poplamila kawą prawie nową bluzkę, która udawała bardzo drogą bluzkę, ujebali jej trzy z siedmiu kwestii dialogowych, a ten ultraprzystojny brunet od projektowania poziomów oświadczył bohatercko, że jeśli się z nim umówi, to na zawsze usunie Tindera. Potem była u babci – ta znowu nie w formie, znowu pomyliła ją z jej zmarłą mamą, co Zużę już chyba zaczyna lekko przygniatać – i po raz nie wiadomo który wyprowadziła babcię z błędu, no ogólnie nieprzyjemnie, staruszka znowu płakała. Wnuczka spędziła u niej dwie godziny, zanurzając się razem z nią w nieuporządkowanych wspomnieniach, z których wylawiała nieznanne

wcześniej fragmenty rodzinnych życiorysów. Potem babcia znowu zapomniała, że jej córka nie żyje, i było radośnie, dwa razy śpiewały wspólnie *Ninon, ach uśmiechnij się*.

Rozważamy, czy po żołądkowej dalej pić żołądkową, czy może whisky, który to dylemat roztrząsamy regularnie. Zwykle dalej pijemy żołądkową, a potem napoczynamy whisky.

Nalewam więc żołądkowe i włączam bułgarski rap.

* * *

Kiedy się budzę, Zuzy już nie ma, mam tylko odrobinę jej zapachu na koszulce w miejscu, gdzie opierała głowę. Czerwone cyfry na zegarze wyostrzają się na moment: pierwsza siedemnaście. Przemierzam rozkołysany pokój, wchodzę pod prysznic, pod prysznicem dobrze. Minuta, dwie, dziesięć, pewnie raczej dziesięć, nie wiem ile, stoję tak i stoję, oczy już szczypią, opuszki palców zmarszczone.

Wracam do pokoju, otwieram laptopa, nie wiem po co. Sprawdzam Facebooka, Instagrama, oglądam kilka głupich filmików, w końcu otwieram nowe okno przeglądarki i zatrzymuję palce na klawiszach. Jak mam tego w ogóle szukać?

Zaczynam: „Jak znale”, jednak usuwam. Ostatecznie wklepuję sześć słów: „Najlepszy prezent na urodziny dla siedmiolatka”.

Zanim zdążę napisać do końca ostatnie, znowu jestem przed wioską, trzech mężczyźni w cieniu glinianej kalaty, chrapliwy śmiech i mój cień przede mną. Drapię się w klatkę piersiową.

Widzę tę samą twarz co zawsze, nie wiem, w jakim stopniu jest prawdziwa, może czas zupełnie ją przekształcił. Pamiętam tylko czarne włosy, rozchylone usta i duże, wystające zęby. Odchodzę od komputera, nalewam pół szklanki wódki, wypijam duszkiem, kładę się, zamykam oczy.

Koniec fragmentu
Zapraszamy do księgarń



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

